NUMER 10. LWÓW, DNIA 1. LIPCA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. Milkowskiego 11.

AGOT GJEIUS SELMER.

Na dalekiej północy.

(Z duńskiego.)

Mieszkamy daleko, daleko na północy. Jest to już dobry kawał na drodze do bieguna. Nansen oczywiście dotarł dalej.

Nieraz w zimie, gdy Nansen był jeszcze w podróży, a u nas było ponuro, mroźno i burzliwie, myśleliśmy o nim: „biedny Nansen! czy jemu też gorzej jest, niż nam?“ Ale rozejrzawszy się po naszym cichym, ciepłym, małym pokoiku, wołaliśmy razem: „Rozumie się, że Nansenowi o wiele jest gorzej, przynajmniej odkąd opuścił swój okręt „Fram“.

Podczas wszystkich wigilii Bożego Narodzenia, w czasie których Nansena jeszcze z powrotem nie było, myśleliśmy o nim, mówili o nim i życzyli mu, żeby i u niego było w tej chwili tak ciepluchno i miło, jak u nas i żeby nie zaznał ani głodu, ani chłodu. Nansen był bowiem najbardziej podziwianym przez nas bohaterem. Jedna z dziewczynek naszych jest tak zapaloną czcicielką Nansena, że nosi zawsze broszkę z Nansenem i nansenowską czapeczkę.

Ale nie chciałam przecież opowiadać o Nansenie, lecz o naszej siedzibie.

Leży ona wysoko i daleko na mapie. Musisz odnaleźć najpierw Tromsö.

Jeżeli już szukasz tak wysoko, że odnalazłeś Tromsö, które wygląda jak piękny ogród zielony wśród wysokich, ośnieżonych gór, to wynajdź opodal długą, a wązką zatokę; nazywa się ona Balsfjord.

Jest to zatoka ciasna, otoczona po obu stronach wysokiemi skałami. Ma rozmaite kąty i zakrzywienia, a na mapie przypomina nieco kształtem but. Tam przy końcu, mniej więcej, gdzie się znajduje obcas buta, leży nasza siedziba. Pomyślisz sobie zapewne: „brrr! to strasznie tak mieszkać daleko na północy!“ Niech ci się tak nie zdaje: Tu jest piękniej, niż na Kapri — mówiła ciocia Augusta, gdy odwiedziła nas przed kilkoma laty z wujem Lauricem, wracając prosto z Włoch. Nie żałowali nas bynajmniej że mieszkamy tak na północy. Oczywiście, że było to wśród lata w piękny, pogodny dzień słoneczny.

„Chciałabym usłyszeć, czy powiedziałabyś to samo w ciemny czas?“ — zapytała mamusia. Ale już tak jest, że wszyscy ludzie z południa mają takie dziwne wyobrażenie o północnych krajach, a krajem północnym nazywa się wszystko, co leży na północ od Trondnjem, bez względu na to, czy należy to do okręgu Nordland, Tromsö, czy Finmarchii, nie wiedzą wcale, że jedno miejsce oddalone jest od drugiego o pięć dni drogi.

Mieszkamy prawie w środku tego kraju, w okręgu Tromsö.

Jeden półwysep obok drugiego wchodzi w morze, a na każdym z nich leżą małe, białe domki — prawie na każdym półwyspie jest przystań dla okrętów więc mieszka tam i ekspedytor, t. j. człowiek, który łodzią do okrętu dopływa i odbiera pocztę, paczki i towary. Nie mamy tu bowiem mostków, do których okręty dopłynąćby mogły. Często w zimie, gdy wszyscy mężczyźni do połowu ryb wyjechali, musi która z kobiet wsiąść do łodzi i wiosłować do okrętu. Kobiety nasze robią to równie odważnie, jak mężczyźni. Życie i stosunki tutejsze czynią ludzi zręcznymi i nieustraszonymi. A mieszkaniec północy na czółnie czuje się tak, jak ryba w wo-

dzie, lub ptak w powietrzu. Czółno jest i będzie jego właściwym żywiołem i w niem czuje się zawsze najlepiej.

Im głębiej wchodzi się do fiordu, tem staje się on ciaśniejszy, tem większe wznoszą się skały u jego brzegów, a tam w głębi, gdzie my mieszkamy, zamyka się fiord w kształcie pięknego i wielkiego jeziora, otoczonego wspaniałemi skałami, których szczyty pokryte są śniegiem. Do wysokości pasma śniegu zaś ciągnie się delikatny lasek brzozowy.

Lasek ten jest istotnie bardzo pięknym, a ile razy zieleni się na nowo, wydaje nam się jeszcze piękniejszym, niż dawniej. Łatwo przedstawić sobie możecie, jaka tu w zimie wspaniała jest ślizgawka.

Od góry, od żywopłotu, który gromadzką łąkę dzieli od obszaru dworskiego, zjeżdżamy na łyżwach w takim pędzie aż do samego wybrzeża, że musimy się u brzegu na śnieg przewrócić umyślnie, by nie wpaść do wody.

Zima jest u nas bardzo długa. Dziewięć miesięcy mrozów. A wyobraźcie sobie, że przez dwa długie miesiące nie widzimy ani jednego słonecznego promyka. Słońce odchodzi wtedy od nas zupełnie; idzie do was na południe, do Berlina, Warszawy, Wiednia i innych miejsc.

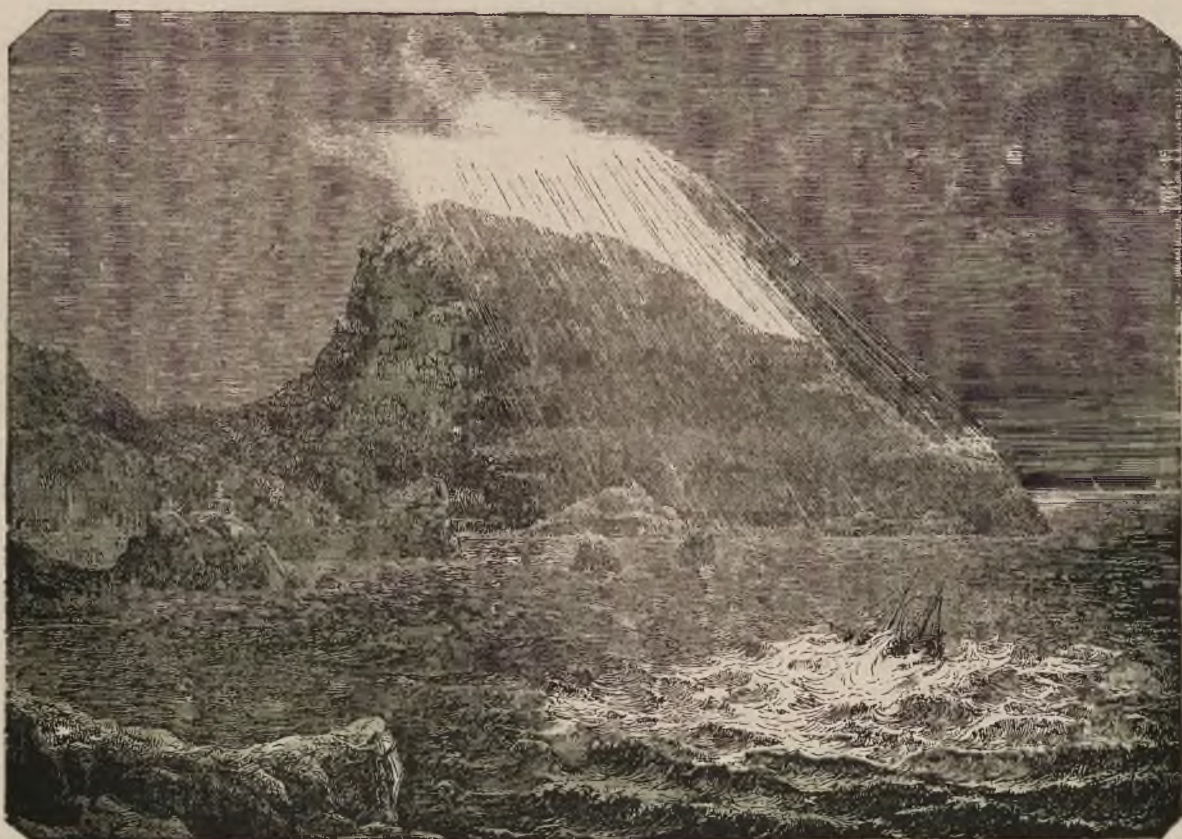
To nie żarty, gdy słońce nas żegna na tak długo.

W dniu 18 listopada widzimy już po raz ostatni wielką, promieniejącą gwiazdę od strony południa tuż nad grzbietem gór.

Tak nam wtedy smutno!

W ostatnich dniach przed odejściem słońca jest tam od południa, ponad skałami Malself, wprost czarowne światło. Niebo nie jaśnieje nigdy tak wspaniale, jak właśnie w tych dniach. Wygląda to, jak gdyby słońce chciało uczynić wszystko, co jest tylko w jego mocy, by wynagrodzić nam to, że nas na tak długo porzuca!

Szle czerwone, fioletowe i złote promienie i zlewa się w błękit. Wytwarza to taką olśniewającą grę kolorów, że malarz uczułby na ten widok niebywałe natchnienie.



Około szczytów skał krążą chmury jaśniejące wszystkiemi barwami tęczy, a lśniące, jak perłowa macica; czasem wyglądają, jak oskubane listki kwiatu róży, rumienią się i zda się, że szepcą: bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi!

Ostatnie promienie słońca coraz, coraz ukośniej do pokoju padają. Po raz ostatni widzimy je w kącie nad fortepianem jak igrają i pląsają, padając przez pryzmy wielkiego świecznika i odbijają się na obrazach, wiszących nad kanapą — wszystko nabiera szczególnego, osobliwego piękna, nieopisanie rzewny nastrój nas ogarnia, który cicho i łagodnie mówić się zdaje o rozstaniu. Stoimy wszyscy smutni i cisi w oknie — a na twarzach

naszych odbija się silny, dziwny refleks — to niebo puszcza takie ognie bengalskie słońcu na pożegnanie.

Ojciec i matka, dziewczątka i braciszek, pani nauczycielka i wszystkie służące przychodzą do okna, by pożegnać słońce.

A ono słania się i słania coraz niżej i niżej - ach! jakże to szybko postępuje! – stoimy cisi, bez szmeru, bez szelestu, a w sercach naszych drga wołanie: słońce! słońce! jakże możesz opuszczać nas w tej bezmiernej samotności!

Gdy promienie kładą się na fale morskie, gdy drżą na wodzie, jakby gwiazdy, wtedy ostatnie blaski ich oświetlają naszą małą „złotą wysepkę“, położoną tam wśród fiordu. Ileż to przecudnych, jasnych nocy letnich spędziliśmy na niej, przechadzając się po miękkich, kwiecistych trawnikach, lub sporządzając kawę pod gołem niebem, co wszystkie dzieci tak bardzo cieszyło. — Tak długo czekać trzeba, zanim znowu tam pojedziemy.

Powoli, powoli kryje się słońce poza skalne urwiska.

Poszło! — Straszna grobowa cisza zapanowała odrazu! Zda się, że coś nas odumarło. To światło, największa radość życia! — Niebawem giną różane rąbki na skałach, a kir żałobny okrywa całą przyrodę. Nie jesteśmy w stanie przemówić. Ubyło nam coś, a brak ten przenika całe mieszkanie.

Matula odwraca się pierwsza od okna i osusza łzę, tak, aby nikt tego nie spostrzegł, a prawie równocześnie mówi z uśmiechem: „Żegnaj nam, wspaniały przyjacielu — słońce! Wracaj wnet! Nie zapominaj nas: Myślimy codziennie o tobie i co dnia tęsknimy do ciebie!“

Słońce nie zapomni nas, to pewna — powróci — i świecić nam będzie nieprzerwanie dniem i nocą, by nam wynagrodzić długie, ciemne, zimowe miesiące.

O czem Ludwiś z Witoldem rozmawiał.

(Dokończenie.)

— To szkoda — rzekł Ludwiś z żalem, — że ja widzieć nie mogę, jak się taki twardy kawałek w płyn zamienia.

— Jeżeli o to ci idzie, to bardzo łatwo być może.

— Zaprowadzisz mnie tam gdzie tak ciepło? zawołał uradowany chłopak.

— Nie, ale pokażę ci coś bardzo podobnego i łatwego do zobaczenia. Chciałeś przecież widzieć, jak przedmiot stały zamienia się w płynny?

— Tak!

— Spojrzyj przez okno — widzisz tę bryłę lodu na podwórzu? Widziałeś lód z bliska? Jest twardy jak kamień, jest to kamień zrobiony z wody. Weź go do pokoju a pocznie mięknąć i roztopi się w wodę. W zwyczajnej temperaturze pokojowej, temperaturze wiosny, lata i jesieni jest to płynna woda — mróz zimy przemienia ją w lód. Popatrz teraz nad samowar, który wniesiono do drugiego pokoju. Widzisz unoszącą się nad nim parę? To woda, która rozgrzaną ze stanu płynnego przeszła w stan lotny. Każda kropelka, a w każdej kropelce każda cząsteczka kropelki poczęła się rozszerzać i oddalać jedna od drugiej, jak gdyby pod wpływem ciepła ciasno im się stało w samowarze. Gdy się kropelka każda tak na drobniutkie i przez tę maleńkość swoją na leciuchne cząstki rozdzieli, każda cząstka, pęcherzyk pary wychodzi z samowara i unosić się poczyna w powietrzu. Gdyby tak dużo węgla dokładać, aby się w samowarze długo gotowało — cała woda zamieniłaby się w parę.

– To dziwne, to dziwne — raz po raz Ludwiś powtórzył. – Właściwie, ja przecież i lód i wodę i parę tak często widzę, a nie wiem czemu nigdy o tem nie myślałem. Ale gdyby zrobić takie strasznie ogromne ciepło, to możnaby i kamienie i szkło i żelazo i wszystko w płyn zamienić?

— Możnaby.

— I czy możnaby i w parę, gdyby jeszcze większe było ciepło?

— Możnaby zapewne, tylko że do takich rzeczy trzebaby tak ogromnego ciepła lub zimna, że nikt tego zrobić nie umie.

— To szkoda! Ale może kiedyś jeszcze ludzie potrafią zrobić takie straszne ciepło? Ale czemu powiedziałeś mi „ciepło lub zimno“?

— Bo myślałem, że pytając czy rzeczy stałe w zwyczajnej temperaturze naszej, można zamienić na płynne lub lotne, zechcesz wiedzieć czy też i na odwrót, rzeczom lotnym w naszej temperaturze, nie możnaby nadać stanu płynnego?

— O tak, tak, chcę wiedzieć, powiedz Witoldzie!

— Możnaby, ale na to ogromnego potrzeba zimna i znowuż tak ogromnego, że ludzie dotąd wytworzyć go nie zdołali, ale niektóre rzeczy już się udały, na przykład płynne powietrze!

— Co? płynne powietrze? Tyś to widział? — wołał coraz bardziej rozciekawiony chłopak.

— Widziałem raz jeden i nawet jedna kropelka tego płynnego powietrza upadła mi na ramię. Byłem bardzo ciepło odziany w gruby tużurek i futro, a mimo to jednak, uczułem takie straszne zimno z dotknięcia tej jednej kropelki, jakiego dotąd nie znałem. Naturalnie, że płynne powietrze to w otwartem naczyniu natychmiast się ulatnia.

— Jak to wszystko dziwne i śliczne i ciekawe i cudne — szeptał rozpromieniony chłopak, tuląc się do Witolda. — Jaki ty dobry, Witoldzie że mi to opowiadasz!

— I mnie przyjemnie, że mogę z tobą poważnie rozmawiać, bo ty umiesz już myśleć i rozumiesz wszystko.

Ludwiś aż urósł z radości. Tak, on już naprawdę rozumie poważne rozmowy. Oczka mu się zaiskrzyły dumą i szczęściem, że Witold po-

znał, że on już umie myśleć, że on już rozumie poważne rozmowy.

— Witoldzie, ale czemu moje chuchanie jest ciepłe?

Witold spojrzał na zegarek.

— Chłopcze, już późno, mam dziś dużo jeszcze roboty, kiedy indziej, przy wolnej chwili i o tem pomówimy.

Eleonora L.

Kłopot z dziećmi.

Komedyjka w 2 aktach.

OSOBY:

JÓZIO, ADAŚ, MARYNIA — rodzeństwo.
CZWORO MŁODSZYCH DZIECI, WOJTUŚ — dzieci wiejskie.
ZOSIA, córeczka wiejskiego nauczyciela.

Rzecz dzieje się na letniem mieszkaniu u rodziców Józia, Adasia i Maryni w ogrodzie.

Scena I.

JÓZIO (wchodzi na scenę od strony prawej, ma przewieszoną przez ramię puszkę botaniczną. Chodzi zamyślony, mówi do siebie): Hm! Jak można było o czemś podobnem zapomnieć, poprostu darować sobie tego nie mogę. Mamusi imieniny, jak to mówią, za drzwiami, a ja niczego, literalnie niczego nie przygotowałem. Nie chodzi mi już o zwyczaj, ale taka znakomita sposobność sprawienia mamusi przyjemności... a Marynia takby się martwiła... ach! ach! jakże jestem roztrzepany!...

Scena II.

(Wchodzi Zosia, przez chwilę patrzy na Józia, który jej nie widzi, potem przystępuje do niego):

ZOSIA: Dzień dobry Józiu! Cóżeś taki zafrasowany?

JÓZIO: Wyobraź sobie, że za parę dni są naszej matki imieniny, a nie mogę wymyśleć odpowiedniej niespodzianki. Obowiązek ciąży na mnie wobec rodzeństwa. Jestem przecież o parę lat starszy od Adasia i od Maryni, liczą na mnie i oczywiście raczej ja coś wymyśleć mogę, niż oni.

ZOSIA: Rzeczywiście kłopot. (Zamyśla się, przez krótką chwilę chodzi w milczeniu obok Józia).

Scena III.

(Za sceną słychać głośny śmiech chłopca, potem wbiega Wojtuś w chłopskiem ubraniu, śmieje się, tuli coś w rękach i przyciska do siebie, trzyma tak, jak się ptaka zwyczajnie trzyma).

WOJTUŚ (śmieje się, przybiega w kierunku do Józia i Zosi): Ha! ha! ha! a to rabuś! patrzcie mi go! czułe serce! dobra matka! poczciwe stworzenie! Ty urwiszu jakiś! nicponiu! (Mówiąc to, patrzy na ptaka, którego trzyma).

JÓZIO: Wojtek, komu tak wymyślasz?

ZOSIA: Co tam masz?

(Podchodzą do niego i zaglądają mu w ręce).

ZOSIA (z rozczuleniem): Ptaszek...

JÓZIO: Rzeczywiście... jaki miły...

WOJTUŚ (ironicznie): Pewnie, miły, bardzo miły... (gniewnie): Rabuś i basta!

JÓZIO: A co to za ptaszek?

WOJTUŚ (przegina się w pasie wprzód, szyję wyciąga, stara się naśladować głos kukułki): Kuku! kuku! kuku!

ZOSIA (zdziwiona): To kukułka?

JÓZIU: Kukułeczka! pokaż jeszcze! (Zaglądają znowu ciekawie).

ZOSIA: Śliczniuchna!

JÓZIO: Jak ją dostałeś?

WOJTUŚ: Już się tak nie zachwycajcie, bo istotnie niema czem. Posłuchajcie. (Opowiada). Chodzę sobie koło stawu, a tu patrzę, leci kukułka, w dzióbku trzyma jajo, wlatuje wprost do wązkiej dziupli, w której było gniazdo pliszki. Zaczaiłem się ciekaw, co też dalej będzie i wiecie co, kukułka włożyła swoje jajko do cudzego gniazdka. Nie dość, chwyciła w dziób jedno jaje pliszki. W gniazdku pliszki były cztery jaja i wyrzuciła je z gniazda! Już miała wychodzić przez wązką dzióplę, gdy haps, zamknąłem wązki otwór ręką i złapałem ptaszka! Chciała się dobrze urządzić, by jej drugi ptaszek jajko wysiedział i dziecko wychował — ale ma karę za to!

ZOSIA (z najwyższem zdumieniem): To ciekawe! ciekawe!

JÓZIO (zastanawia się, uderza się palcem w czoło i mówi do Zosi wesoło, z naciskiem przerywając i zastanawiając się): Wiesz co?!... Taka ciekawa, nadzwyczajna historya... Gdybyśmy to przedstawili... Zrobili z tego komedyjkę z życia zwierząt i przedstawili to na imieniny mojej mamusi?!

(Wojtuś tymczasem usiadł na ławeczce z lewej strony sceny, przypatruje się kukułce, którą trzyma, a czasem grozi jej palcem).

ZOSIA (z radością i podziwem): Wybornie! Wyśmienicie! Wspaniała, gienialna myśl!

JÓZIO (klaszcze w ręce i skacze w radości — Wojtuś podnosi głowę i patrzy na niego zdziwiony): Brawo! brawo! Ach! jakże się cieszę! Niema nic złego, coby na dobre nie wyszło! (Zwraca głowę w stronę, gdzie Wojtuś siedzi): Dziękuję ci kukułko! (Wojtusia zdziwienie wzrasta, Józio zwraca się w głąb sceny i woła, przykładając ręce do ust):

Maryniuuu! Adasiuuu! Adasiu! Maryniu!

(Z głębi sceny nadbiegają Adaś i Marynia. Jeżeli można zrobić zasłonę, to zasłona spada, jeżeli to niemożliwe ze względu, że grać należy w ogrodzie, to dzieci, złączywszy się, wychodzą, rozmawiając po cichu, poza obręb sceny, a Wojtuś zapomniany wychodzi za niemi).

(Dokończenie nastąpi)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Maryi H. w Przemyślu. Dziękujemy bardzo za ładną szaradę — o zagadkash Mani nie zapomnimy, ale dotychczas brakło nam miejsca na ogłoszenie ich. Widzimy znaczny postęp w układaniu szarad — ostatnia szarada Mani jest bardzo zręcznie ułożoną.

Herminka S. w Krynicy. Nagroda z pewnością nie minie Herminki — prosimy o cierpliwość.

Helence G. m Borkach. Bardzo nam przykro, że Helusia wciąż choruje — życzymy jej serdecznie rychłego wyzdrowienia. Zagadka bardzo dowcipnie ułożona, dziękujemy Helusi bardzo.

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Jadzia B. z Krakowa, Artur B. z Przemyśla, Marya H. z Przemyśla, Bronisława H. z Kołomyi, Alfred H. z Kołomyi, Jadwisia J. ze Lwowa, Adaś K. z Krakowa, Elisa R. z Tarnopola, Tosia S. ze Lwowa, Hermina S. z Krynicy, Marya R. ze Lwowa, Helenka G. z Borek, Romcia Z. z Krynicy i Renée A. z Przemyśla.

Nagrodę dostaje *Jadwisia J. ze Lwowa.*

Jako nagrodę za rozwiązanie zagadek, umieszczonych w tym numerze, przeznaczamy zabawny cel, w który się rzuca piłką. Gdy się trafi, wychodzi kogut i pieje.

Leosiowi M. w Stanisławowie. Za piękne zagadki serdecznie Leosiowi dziękujemy. Przesłanej nam powiastki nie drukujemy, gdyż sposób przedstawienia jej do druku się nie nadaje, forma jest niedość obrobioną.

Zagadka

ułożona przez Leosia M. ze Stanisławowa.

Ma mnie każdy bez wyjątku
I to zaraz na początku,
Jestem nawet w mysiej łapce
Stoję wam na karku, czapce,
Kapeluszu i kaszkiecie
Kapitanie i kadecie.

Matka, ciotka niechaj powie
Strzeże mnie jak oka w głowie,
Z córką chętnie przesiaduję
U syna się nie znajduję
Mnie w pokoju nikt nie złapie
Chociaż siedzę na kanapie!

Ja funduję kapitały
Wpływ mam wielki — wygląd mały,
Nawet w Rosyi ukazy
Przemieniam wnet w Kaukazy
Wolę być już u Kalwina
Niżli kiedyś u Rusina.

Mieszkam w Polsce, w Ameryce,
W Skandynawii i w Afryce,
Jam w Karyntyi przewodnikiem!
Każdej kasy jam spólnikiem!
W Niemczech szukasz mnie daremnie,
Niemasz apteki bezemnie.

Niech kucharka z niebios zejdzie,
Bezemnie się nie obejdzie,
Do kakao, kalafioru,
Kaszy, kawy mnie wciąż biorą,
Najwykwintniejsza kapusta
Bezemnie jest tylko pusta.

Do karczmy i do kasyna
Idę, choć nie lubię wina,
I gazety tam nie ruszę,
Ale wódkę, przyznać muszę
Zawsze dobrze upilnuję.
Do Karlsbadu też wędruję,

Bo z katarów nie wychodzę,
Zawsze po kałużach brodzę.
Znajdziesz mnie na kałamarzu
I przy każdym kalendarzu
I przy kartach i w karecie,
Przy kapłanie, katechecie,

Na kazaniu, w kazalnicy,
I w katedrze i w kaplicy.

U atlety, u olbrzyma
U siłacza to mnie nie ma.

Lecz karliki i kaleki
Pewni mojej są opieki.

Kącik dla małych dzieci.

Szklanki.

Było to po objedzie, nie zdjęto jeszcze ze stołu nakrycia, szklanki stały rzędem.

Jedna z nich była całkiem próżna, w drugiej było trochę wody, trzecia napełnioną była do połowy, a w czwartej było pełno wody.

Mały Adaś bawił się łyżeczką i potrącił jedną szklankę.

Szklanka dźwięczała przez chwilkę i zwolna przycichła.

Adaś bardzo się zadziwił.

Potrącona szklanka zadrgała podobnie jak fujarka, gdy się w nią dmucha dlatego wydała taki dźwięk.

Chłopczyk trącił tą samą łyżeczką drugą szklankę, ale dźwięk jej był trochę odmienny.

Szklanka z wodą nie mogła już tak grać jak pusta szklanka, dlatego miała nny głos.

Adaś wypróbował wszystkie szklanki na stole i bardzo dobrze tem się bawił, ale narobił tyle hałasu, że mamusia kazała mu przestać.

-- Zaraz, zaraz mamusiu! Jeszcze raz! Jeszcze raz! — upierał się chłopczyk bez końca.

Mamusia widząc, że nie da rady z upartym synkiem, położyła rękę na szklance.

Szklanka, choć uderzona, w tej chwili dźwięczeć przestała, bo mamusia ją przytrzymała, więc przestała drgać.

B.

Jak to bywa na wsi?

(List Helusi do Halinki).

Kochana Halinko! Ucieszyłam się ogromnie, gdy mi Mama powiedziała, że przyjedziesz do nas na wieś ze swoją Mamusią i z Ciocią Brońcią — toż dopiero nam będzie wesoło! Bo muszę Ci wyznać, że choć dobrze mi tu na wsi bardzo, choć tu ślicznie jest i miło, to jednak nieraz mi się przykrzy, bo niemam się z kim bawić i biegać. Niema tu żadnych dzieci w moim wieku, a maleńka moja siostrzyczka jeszcze się ze mną bawić niepotrafi. Więc oczekuję Twego przyjazdu z wielką niecierpliwością, a tymczasem opiszę ci, co tu jest na wsi, abyś wiedziała, jak i czem się tu razem bawić będziemy.

Najpierw, przy domu jest spory ogród, gdzie i ja mam swoją grządkę, którą skopałam, zagrabiłam ładnie i ogrodziłam płotkiem z patyczków, żeby mi kury i kaczki nie deptały roślinek. W tym ogródku posiałam sobie rezedę, stokrotki i astry, a oprócz tego na oddzielnym zagonku rzodkiewkę; jak mi wyrośnie, będę codzień potroszkę wyrywać dla Mamy na śniadanie. Jak przyjedziesz, będziemy obie pamiętać o tym ogródku, podlewać go i oczyszczać z chwastów — zobaczysz jaka to przyjemna robota.

Po drugiej stronie domu jest śliczna łączka, okolona drzewami, po której można biegać i figlować dowoli. W jednym kącie tej łączki Tatuś kazał zesypać parę fur żółciutkiego piasku, i teraz obie z Jadwisią robimy na wyścigi babki i placki z piasku, ubieramy je drobniutkiemi kamykami, i urządzamy lalkom naszym uczty.



Na podwórzu jest sadzawka po której pluszczą się kaczki i gęsi z małemi żółciutkiemi gąsiątkami, w około zaś chodzą kury z kurczętami,

koguty, indyczki i jeden wspaniały indyk, który co chwila groźnie się puszy i krzyczy: gul — gul — gul na każdego przechodzącego. Jest też tu dużo krów i koni, są psy i koty, ale najzabawniejsze ze wszystkich tych zwierząt są dwa śliczne, czarne baranki z pozakręcanymi rogami. Niemasz pojęcia, co mamy z nich uciechy, gdy zaczną biegać, figlować i podskakiwać, a najśmieszniejsze są wtedy, gdy się biją ze sobą. Cofają się wtedy w tył, potem pędzą, pochyliwszy głowy, naprzeciw siebie, i z całych sił stukają się rogami. Jak się zanadto rozbawią, to się biorą i do dzieci: Jadwiśka boi się ich bardzo, bo już nieraz ją przewróciły na ziemię, a i mnie się to raz zdarzyło, choć już jestem duża i mocna.

Pewnego razu, gdy już wełna na nich była bardzo długa i gęsta, karbowy ostrzygł je długiemi nożycami — gdybyś wiedziała jak się zmieniły potem: zrobiły się takie cieniutkie i chudziutkie, że aż żal było patrzyć na nie. Obciętą wełnę gospodarz zabrał, ale kilka kawałków zostało między kamieniami, i — nie zgadłabyś pewnie co się z nią stało? Posłuchaj. Wyglądałam przez okno na podwórze — wtem, patrzę, poskoczył wróbelek między kamienie, pokręcił łepkiem dokoła, jakby się oglądał, czy kto na niego patrzy, schwycił kawałek wełny dzióbkiem i pofrunął na dach, tuż nad naszem oknem. Mamusia, która też na to patrzyła, kazała mi się wychylić przez okno i spojrzeć do góry. Zobaczyłam wtulone między mur i dach gniazdeczko, na którem siedział ten sam wróbelek z pochwyconą wełną. Wsunął się w otwór gniazdeczka, i gdy po chwili wyszedł stamtąd, niemiał już wełny w dzióbku. Potem sfrunął znów na podwórze, schwycił nowy kawałeczek wełny i znów go zaniósł do gniazdka. I tak powtórzyło się to kilka razy, aż póki całej wełny nie wybrał. Prawda, jaki to mądry ptaszek? jak to on wiedział, że wełna jest cieplutka i miękka i że na niej wygodnie będzie spać w gniazdku maleńkim wróbelkom!

Myślę, Halinko, że to wszystko co Ci opisałam, podoba Ci się bardzo, i że również jak ja, niecierpliwie oczekiwać będziesz chwili przyjazdu na wieś.

Ściskam Cię serdecznie Twoja Helusia.

J. K.



Przy śniadaniu.

— Zjedźcie dzieci raźno śniadanie i pójdźcie podlać kwiatki w ogrodzie — rzekła mamusia.

Dzieci lubiły podlewać kwiatki, więc prędko przybiegły do stołu.

Mamusia dała każdemu dziecku filiżankę mleka i kromkę chleba z masłem, a gdy zjadły i wypiły zapytała: „kto chce jeszcze kawałek chleba?"

— Ja proszę — odpowiedział Ignaś.

— I ja — dorzuciła Michalinka, która przyjechała do dzieci na dłuższy czas w odwiedziny.

Ignaś i Michalinka byli starsi od tamtych dzieci, więc trochę więcej jeść mogli.

Józia zamyśliła się głęboko i spytała: „Skąd się właściwie chleb bierze mamusiu?"

Józia miała piąty rok. Gdy zadała mamusi powyższe pytanie wszystkie młodsze dzieci ciekawemi oczkami spojrzały na mamusię, bo każde chciało wiedzieć skąd się chleb bierze.

Mamusia przysunęła sobie krzesło do stołu, usiadła na niem wśród dzieci i rzekła:

— Pamiętacie chyba wszyscy jak wygląda pole. Byliśmy ubiegłej niedzieli za miastem w polu. Przypominacie sobie to, nieprawdaż? i wiecie co rośnie na polu?

— Zboże! — zawołały dzieci chórem, tylko Ignaś nic nie mówił i siedział zamyślony. Ignaś był wielkim filutem i dowcipnisiem, choć miał dopiero czwarty rok.

— Przecież chleb na zbożu nie rośnie — rzekł poważnie, bo by się słomka złamała, chleb taki ogromny i ciężki.

Dzieci ubawiło ogromnie, to odezwanie się Ignasia, zwłaszcza młodsze poczęły się śmiać serdecznie, bo wyobraziły sobie bochenek chleba na słomce.

— Heca! — cieszył się Zdziś — śmieszne! to tak jakby parasol jaki lub grzyb!

— Teraz zboże jest jeszcze zielone — rzekła mamusia — ale zobaczycie, gdy pójdziemy w pole za parę tygodni, że będzie całkiem żółciutkie. Wtedy będzie dojrzałe. Zerwijcie sobie wtedy jedno źdźbło i przypatrzycie mu się.

Na długiej żółtej słomce będzie pełny kłos, a w niem dużo, dużo ziarnek. W tym czasie, gdy zboże jest już dojrzałe, wychodzą rolnicy w pole z kosami i koszą zboże jak trawę. Potem skoszone zboże zbierają ze ziemi i wiążą w snopy. Snopy kładą na fury i zawożą do stodoły. Czy widziało które z was już raz stodołę? — zapytała mamusia.

Michasia widziała stodołę, bo była zeszłego roku u cioci na wsi i opowiedziała dzieciom jak stodoła wygląda. Jestto pusty, wiejski budynek, w którym składają snopy.

— A widziałaś Michasiu, co z temi snopami dalej robi się w stodole? — spytała mamusia.

— Widziałam. Gdy wszystko z pola już jest zebrane, wtedy biorą rolnicy po kilka snopów, rozwiązują je na środku stodoły na podłodze i biją w nie z całej siły cepami.

— Co? — spytał Adaś ogromnie zdziwiony — biją zboże? a to na co?

— Co to jest cep? — zapytała Jańcia.

— Cep to są dwa bardzo silne kije. Jeden jest krótszy od tatusiowej laski, a drugi znacznie od niej dłuższy. Jeden kij wisi na krótkim, mocnym sznurze na końcu drugiego kija. Ludzie trzymają w ręku ten cep i tłuką nim w zboże z całej siły. Gdy tak walą, ziarnka zboża wyskakują z kłosów i rozsypują się po podłodze.

To znaczy, że się zboże młóci.



Gdy całe zboże już jest zmłócone, wtedy zbiera się ostrożnie słomę, a ziarnka zgartuje się na kupkę i zsypuje do worków.

Gdy dużo już jest worów napełnionych ziarnem, kładzie się je na furę i zawozi do młyna.

— Czy młyn też widziałaś Michalinko? — zapytała mamusia.

— Nie, w młynie nie byłam, bo to było za daleko dla mnie.

Ale pokazało się, że Ignaś widział młyn, taki domek, przy którym było obok dachu olbrzymie skrzydlate koło, to koło obracało się na wietrze.

— To był młyn wiatrowy, czyli wiatrak — rzekła mamusia.

Miecio opowiedział, że widział raz taki młyn, t. j. domek, który stał nad rzeczką, do tego domku było przytwierdzone na dole przy jednej ścianie bardzo wielkie i szerokie koło, to koło było już w rzeczce, a gdy woda płynęła, obracała woda tem kołem.

— Taki młyn nazywa się wodny — powiedziała dzieciom mamusia. — Może być jeszcze młyn parowy. To już jest ogromny dom i nie ma żadnego koła na wierzchu, tylko wysoki, bardzo wysoki komin i wygląda jak fabryka.

— Pewnie słyszeliście po co się ziarna do młyna zawozi?

Żadno z dzieci tego nie wiedziało, więc mamusia rzekła:

— Podobnie jak ja ziarna kawy mielę na naszym małym młynku, miele się w tych ogromnych młynach ziarna zboża na mąkę...

Warto było widzieć buźkę Ździsia, gdy mamusia to mówiła, taki był okrutnie zdziwiony.

— To mąka, ta która jest w kuchni na kluski, robi się z tych ziarnek, które wyrosły w polu?...

— Tak jest kochanie moje miluchne — odrzekła mamusia, ale nie tylko kluski robi się z mąki, może która z was wie co jeszcze?

— Chleb! — zawołała Michasia bardzo ucieszona tem, że ona pierwsza zrozumiała z czego się chleb robi.

Józia bardzo zaciekawiona słuchała całej tej rozmowy i nie odezwała się przez cały czas, aż dopiero teraz zapytała:

— To chleb jest pewno z mocno przypieczonej mąki, bo jest ciemny, a kluski są białe?

Mamusia serdecznie ucałowała Józienkę i cieszyła się bardzo tem, że się jej córuchna zastanawiać umie.

— Nie Józiu, tylko chleb jest z innej mąki, a kluski i bułki też z innej. Mąka na chleb jest ciemna i zrobiona z ziarn takiego zboża, które się nazywa żyto; a mąka na kluski jest jasna i zrobiona z ziarn pszenicy. Piekarze kupują w młynie mąkę żytnią i pszeniczną i wypiekają z jednej chleb, a z drugiej bułki, które potem w sklepach kupujemy.

Gdy mamusia skończyła tę rozmowę z dziećmi, filut Ignaś podał następujący pomysł:

– Gdy jest dużo dzieci dorosłych, to by się doskonale można bawić jak chleb robią. Najpierw niby sieją zboże w polu, potem koszą, potem zbierają, potem młócą, dźwigają na fury, zawożą do młyna, mielą na mąkę i pieką.

— Pewnie, że możnaby się w to dobrze i wesoło zabawić — rzekła mamusia, a jeżeli chcecie to wam do tej zabawy wierszyki ułożę.

— Prosimy! prosimy! mamusiu kochana, jedyna, słodziuchna! — wołały dzieci, skakały koło mamusi i całowały ją.

— W tej chwili wierszyków układać nie mogę, bo się nad tem zastanowić trzeba, ale ułożę je dla was z pewnością, gdy będę miała czas i spokój, najlepiej wieczorem gdy spać będziecie, a gdy ułożymy zabawę w rolnika, opiszemy ją w „Promyku“, aby i inne dzieci ją poznały i bawić się tak mogły.

Wydawc. i odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.